

WERBUNEK

Bardzo dawno temu,
nieopodal ciemnego, ciemnego lasu
żył sobie biedny drwal wraz z żoną i dwójką dzieci,
małym chłopcem i małą dziewczynką,
ledwie mieli co do ust włożyć, ten biedny
drwal, jego żona i dwójka dzieci,
nieopodal ciemnego, ciemnego lasu,
bowiem straszliwy głód zapanował nad całą krainą,
toteż biedny drwal nie był w stanie
zdobyć nawet skibki chleba,
choćby jednej,
nieopodal ciemnego, ciemnego lasu,
i leżąc w łóżku, drwal przeklinał swój los,
ani skibki, rozpaczał, nawet jednej,
co z nami będzie, co? odezwał się do żony,
jak je nakarmimy,
jak nakarmimy nasze dzieci,
skoro my, skoro nawet my,
lamentował biedny drwal, leżąc na łóżku,
na co żona powiedziała słuchaj,
słuchaj, co zrobimy, powiedziała,
wstaniemy bardzo wczesnie rano,
raniutko, o czwartej, powiedziała,
i pójdziemy do ciemnego, ciemnego lasu
i damy im bochenek, ostatni bochenek chleba,
naszemu synowi i naszej córce, powiedziała,
i powiemy im, że idziemy zbierać
chrust, czy coś w tym rodzaju,
i zostawimy je tam, naszego syna i naszą córkę,
tak się ich pozbędziemy,
zostaną tam,
sami w zupełnej ciemności.

Wszystkie,
powtarza kapitan cichym, prawie
 niesłyszalnym głosem,
niemal jęcząc,
wszystkie,
ktoś dostrzeże łzę,
co za wstyd, kapitanie, łza,
niemal jęcząc,
wszystkie,
łza na policzku, a potem druga,
co się z panem dzieje, kapitanie, jak to, łza, co za
 skandal, łza, a potem druga ciekną po policzkach,
powinien pan nad sobą panować, jaki
 pan daje przykład, niech pan pomyśli,
 co za przykład i co za wstyd, kapitanie,
wszystkie,
powtarza cichym, niemal niesłyszalnym głosem,
tak,
wszystkie,
niemal jęcząc, to jest niemal jęk.

Luk rozrabia ciasto, słuchając wojennych wiadomości,
fal uderzeniowych wojny,
tam, tuż przy piecu,
Luk zagniata ciasto, dodaje drożdży,
 a spiker powtarza słowo zwycięstwo,
nieuchronne zwycięstwo,
Luk zaś formuje okrągły, apetyczny bochenek,
wciąż jeszcze można piec apetyczne chleby,
Luk nie myśli o niczym innym, nie myśli,
 formuje chleb, podczas gdy radiowy głos wpada
 w ekscytację i nie mówi już o zwycięstwie, już nie,
teraz mówi o nich, o wrogach,
Luk wyciera szmatą pot z czoła, gorąco z pieca
 daje się odczuć, a głos rozprawia o insektach,

tak ich nazywa ten głos,
insekty,
Luk formuje apetyczny chleb,
to będzie chrupiący chleb, a głos mówi o insektach,
o pladze insektów,
o groźnej pladze insektów.

Wszystkie,
rozkazał, kilka tygodni wcześniej, w stolicy, inny głos,
ten jedyny głos.

Pięćdziesiąt sześć lat, proszę pana,
pięćdziesiąt sześć lat, trzymam się nieźle, ale to jednak
pięćdziesiąt sześć lat, jakby
nie patrzeć, proszę pana,
jakże ja, na co ja się przydam, taki stary, co
za bezsens, żandarm w moim wieku,
niech pan sobie wyobrazi stolarza,
który zostaje żandarmem,
chodzi o rezerwę, rozumiem, dziękuję za
wyjaśnienie, no ale i tak w tym wieku,
lecz skoro nie ma innego wyjścia, jeśli to konieczne
w ramach służby ojczyźnie, o to mi chodzi,
młodzi biją się na froncie, ja wiem,
giną tam za nas, nie chciałem
wyjść na egoistę, proszę pana,
pewnie, że taka ofiara to nic, nic w porównaniu
z tym, co młodzi muszą przecierpieć
na froncie, ja to rozumiem, proszę pana,
i oczywiście jestem gotów, absolutnie gotów,
jutro się stawię, proszę pana,
gotów wypełnić mój obowiązek, proszę pana,
miałem tylko wątpliwości, czy taki stolarz
jak ja, czy ktoś tak wiekowy jak ja.

Z rokokowej fasady zostały tylko ruiny, dym i popioły,
kapitan dmucha w gwizdek, wydaje rozkazy na lewo
i prawo, popędza swój oddział i podbiega do okna,
chce dać przykład chłopakom i podbiega
do resztek zwęglonego okna,
wyłapuje jakiś skowyt,
ktoś wyje jak ranne szczenię,
ktoś, kto nie zastosował się do godziny policyjnej,
takie są konsekwencje, jeśli się nie słucha żandarmerii,
myśli kapitan bardziej z żalem niż oburzeniem,
kiedy wchodzi w dym,
dzielny kapitan daje przykład chłopakom
i wkracza w ruiny, gotów wypełnić swą misję,
szczęśliwy, można powiedzieć, że szczęśliwy, bo
będzie mógł ją wypełnić, uratować rannego,
tę nieposłuszną osobę, która skamle jak
szczeniak, bo, ech, nie posłuchała żandarmerii.

Chłopiec, lat cztery, przekazany do miejskiej
przychodni, zapisuje kapitan w raporcie.

Erno Satrin przechadza się po swojej fabryce,
małej fabryce odziedziczonej po ojcu, i wzdycha,
wzdycha, mimo że wszystko działa,
dobrze naoliwione maszyny, wszystkie
zespoły idealnie zgrane, rury, zawory,
przekładnie pracują pełną parą,
Erno Satrin wzdycha, bo kiedyś jego
fabryka, ta mała fabryczka jego ojca,
produkowała strażackie samochodziki,
miniaturowe karetki pogotowia i lalki,
najpiękniejsze w okolicy, a może i w całym kraju,
lalki o zielonych, błyszczących oczach
i z rudymi, naturalnymi włosami,
lalki z plastiku jeszcze piękniejszego niż porcelana,

lalki, za którymi jego córki przepadały i które
każda dziewczynka chciała dostać na urodziny,
natomiast teraz jego fabryka, mała fabryka jego
ojca, produkuje tylko dziwne części zamienne,
akcesoria do wozów bojowych, karabiny
szturmowe i maszynowe, granatniki,
Erno Satrin przygląda się frenetycznej
pracy rozpędzonych maszyn
i wspomina zabawkowe wozy strażackie,
miniaturowe karetki pogotowia
i lalki o zielonych, błyszczących oczach.

Pewnego dnia portowe miasto
budzi się całe w plakatach,
dziarski tors w marynarskim mundurze,
wysokie kepi,
spokojna mina na czerwono-czarnym tle,
na pierwszym planie narodowy symbol
i te złowrogie litery, które wzywają,
dziś bardziej niż kiedykolwiek ojczyzna cię potrzebuje,
przyłącz się do mundurowych służb porządkowych.

Młodzi poszli na front, ginąć na froncie,
a w porcie zostali tylko starzy,
w konającym porcie strzeżonym przez starców.

Od lat czekam na taką szansę jak ta, proszę pana,
mamrocze Jon Guridien,
każda sylaba jest jak seria z karabinu,
od lat, proszę pana,
od początku tej chwalebnej wojny
czekałem na okazję, by przysłużyć się ojczyźnie,
każda sylaba jak wystrzał,
ale zawsze pogardzano moim zapalem,
powtarzali, że nie jestem w odpowiednim wieku,

przez nich czułem się jak śmieć,
pan wybaczy, że powtórzę, ale jak śmieć,
powiedzieli mi, że nie mogę inaczej służyć ojczyźnie,
że pracownik portowy też przyczynia
 się do ojczystej chwały,
takie rozczarowanie, proszę pana, jak śmieć,
każda samogłoska jak eksplozja,
mnie to nie zadowalało,
siedzieć w tym przeklętym porcie, za pozwoleniem,
w tym konającym porcie, podczas gdy
 nasza młodzież walczy na froncie,
podczas gdy nasi młodzi oddają
 życie na froncie, ja tutaj,
rozładowujący statki w tym konającym porcie,
jak śmieć,
nawet pan nie wie, jaki jestem wdzięczny,
każda spółgłoska jak pchnięcie bagnetem,
tak bardzo wdzięczny, proszę pana,
obietuję, że będę najwierniejszy i najodważniejszy,
najodważniejszy i najwierniejszy,
mamrocze Jon Guridien podpisując swój akces
 do mundurowych służb porządkowych.

Insekty mogą ukrywać się wszędzie,
ostrzega plakat.

Nim wstało słońce, nim wstało białe słońce,
matka obudziła dzieci wołając głośno,
wstawajcie, leniuchy, powiedziała,
wstawajcie, bo idziemy do lasu zbierać chrust,
 będziemy zbierać chrust w ciemnym, ciemnym
 lesie,
powiedziała wręczając im bochenek chleba,
ostatni bochenek,

i powiedziała im tylko to będziecie mieć do
jedzenia, dzieci, tylko to, tak im powiedziała,
dziewczyna wzięła chleb, ostatni chleb,
podzieliła go na połówki i schowała oba
kawałki do kieszeni, bowiem jej brat,
który w nocy podsłuchał rozmowę rodziców,
swoje kieszenie wypełnił kamykami,
kamykami, które w świetle księżycyca
świeciły niczym lusterka,
połyskliwe kamyki, które chłopiec
zamierzał upuszczać
jeden po drugim, jeden po drugim,
kamyki, które w księżycowym świetle
wskażą powrotną drogę do domu,
jeden po drugim, jeden po drugim,
kamyki jak lusterka, które uratują rodzeństwo
przed zimną ciemnością ciemnego lasu.

Nie wierzcie niewinnym spojrzeniom insektów.

Nad portem przełamuje się niebo, purpurowy
horyzont nad konającym portem,
niebo przełamuje się, rzucając ostatnie blaski wieczoru
i pracownicy portowi schodzą z nadbrzeża,
starzy roją się na nadbrzeżu jak mrówki i wznoszą
oczy ku tej purpurze rozpękającej nad ich
głowami
na koniec tego sennego wieczoru,
zanim wrócą do swoich rodzin, do
tego, co z ich rodzin zostało,
do żon i córek i bardzo nielicznych dzieci,
które kręcą się jeszcze po mieście portowym,
po konającym porcie,
ale kiedy już pracownicy oddalą się z nabrzeża,
kiedy już rozpełzną się niczym mrówki,